Rok 1898. Lwów, dnia 21. marca. Nr. 12.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

JÓZEFAT NOWIŃSKI.

WALCZAKI

(Nowela).

Słońce kłoniło się ku zachodowi. Stary Walczak wrócił przed chwilą z miasta, gdzie u krzywego Berka zawsze dostanie dobrego piwa; nie gorzalczyskiem się przecie zalewać pierwszemu gospodarzowi Wólki, którego zna nietylko notarjusz zakroczymski, ale i sam burmistrz, i połowa mieszczan, nie mówiąc już o włościanach wsi okolicznych. Siedział właśnie stary za stołem, podparłszy obiema rękami ociężałą trochę od nektaru berkowego głowę, i nie drgnął nawet na skrzypnięcie drzwi: pewno Ignacowa albo Michaś.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rozległo się tymczasem od proga.

Walczak poznał doskonale głos sołtysa Konopskiego, ale rzuciwszy półgębkiem niedbale „na wieki wieków“, wciąż nie wyjmując fajki z ust i nie odwracając głowy, zapytał:

— A kto tam?

— Swój, kumie, swój! Nie poznalista? — mówił, zbliżając się z ukłonem Konopski.

Gospodarz, udając sennego, jeszcze niżej opuścił ciężkie powieki, co miało zastąpić gościowi kiwnięcie głową.

— Przewąchał psia dusza — pomyślał Konopski i, zabierając po drugiej stronie stołu miejsce, wskazane mu przez gospodarza dziwnym jakimś ruchem porosłej siwą szczeciną brody, odezwał się z miłym uśmiechem:

— Byliśta dziś, kumie, w mieście?

Ledwo widoczne twierdzące poruszenie głową — było odpowiedzią.

— I cóż tam słychać o cholerze, chcę mówić o tej słabości, jak powiadają żydy — poprawił się Konopski, siląc się na dowcip i swobodę.

— A do mnie był znowu wójt — po chwili przerwy ciągnął dalej — to ci dopiero strachy!..

Tu zatrzymał się, pewny, że zadrasnął nareszcie ciekawość milczka, i rozmowa się zawiąże: w tym skąpcu przeklętym strach cholery większy od samej chytrości. Niby mało się jeszcze nażył na świecie.

Gospodarz possał kilka razy fajkę i, przekonawszy się, że zgasła, wytrząsł starannie i schował do kieszeni. Ryba połknęła haczyk: bardzo mu się chciało dowiedzieć, z czem właściwie przyjeżdżał wójt. Może i nie po *to* przyszedł sołtys? Czy aby czasem znów kto nie umarł lub nie zachorował we wsi? Widząc ostatecznie, że gość uparcie czeka na pytanie, odezwał się on nareszcie, zawodząc jednak jakgdyby jego oczekiwanie.

— Ja się z burmistrzem widziałem...

— No? — pytająco rzucił sołtys, nadając swej twarzy wyraz palącej ciekawości.

— W Warszawie cholera — niech łaska boska broni!

— Patrzajta no, moi kochani!

— A u niemców znowuż... Hambur, czy jak, miasto u nich takie... to tam ludziska mrą, nie przymierzając, jak muchy: i z chowaniem nie nadążą.

— A psia mać!...

— Z Warszawy tu do nas do Zakroczymia to nikogój nawet puszczać nie kazują.

— Co wy też gadacie?

— A tak oto: przyjechałeś, to wracaj, skąd jesteś. A co tera szmatów napsują z ówtem gotowaniem i papraniem!...

Wszystkich tych nowin udzielił oczywiście Walczakowi nie burmistrz, który przy spotkaniu zadowolił się podniesieniem ręki do czapki w odpowiedzi na ukłon, lecz starszy strażnik, ale niech Konopski myśli... Nie skłamało się niby, a wygląda jakoś lepiej.

— A wójt — odezwał się z kolei sołtys — cięgiem: wele słabych... ja ich dozierać muszę, niby dochtór jaki, czy co, gromada lekarstwa kupować, po felczera posyłać; niech tylko baba jaka... tfu! Toż nijak nie miarkuję sobie, jak też to pod taki czas przyńdzie komu żeniaczka do głowy!... — zakończył nagle, trjumfując w duszy, że udało mu się nareszcie taki zręczny zwrot do rzeczy zrobić.

— Uhm — znacząco jakoś odchrząknął Walczak, znowu wyjmując fajkę.

— I czegoż znów ten wójt — dodał z pośpiechem, żeby przeszkodzić otwierającemu już usta sołtysowi — przecieć we wsi nikt nie zamarł ani nie zasłabł.

— Zmarło się, chwalić Pana Boga, tylko temu Niemcowi przedonegdaj, a słabują ino te dwie kobiety, co się to zielonośei obżarły. Tyla co chciałem mówić. Ot, jakoś mi się

niechcący wele żyniaczki zgadało, a tobym znowu zabaczył, co mamy rychtyg do pogadania jeden z drugim o jednym takim interesie...

— Ze mną? — udając zdumienie, zapytał gospodarz — czy to ja mam dziewkę w chałupie? A toć i wasza jeszcze żyją. Myślita cheba może, co mnie żeniaczka zapachniała?

Konopski, jak rak, poczerwieniał i zaczął się kręcić niecierpliwie na stołku. Oj, jakby też on podtrzymał sławę najgorętszego chłopa w Wólce, gdyby nie interes i, co najważniejsza, nie bary potężne tego przeklętego bogacza: nauczyłby go on, jak głupiego udawać! W każdym jednak razie owa gorącość popchnęła go do odrzucenia na stronę polityki i przystąpienia wprost do rzeczy.

— E, dalibyśta pokój, kumie, a to żarty się was ino trzymają. Toć sami wiecie, że chłopak wasz dawno już do mojej dziewczyny tego...

— Co „tego"? — obojętnie, wraz z dymem, wypuścił z pod wąsów strzyżonych Walczak.

— E-e, kiedy bo wy kumie — krzywiąc się i kręcąc głową, zawołał Jaworski. — Boć przecie, jako syn wam nieraz powiadał, a i ludzie gadali...

— Co ta kłapanie ludzkie znaczy, a i mało co baje taki bestyjnik!... — odparł opryskliwie Walczak.

— Ano, na to wychodzi, że sam muszę powiedzieć, co się wasz Antek precz do mojej Franki swata.

— E-e?... — zdziwił się Walczak — a z jakiegoż on gniazda, psia jucha, swatów wykręcił? We Wólce jacy nalaz durniów, co poszli, ojca nie pytający? Bo ja, dalibóg, nie praszałem.

— Kto tam o takich rzetelnych swatach gada? Tak mu się ino Franka udała, ano i peda...

— Mało co baje taki bestyjnik... — powtórzył, ruszając ramionami gospodarz.

— Tyla co dziewczynę durzy, a tu czas nie stoi.

— Aboż on co brzydkiego waszej France zrobił? — niby ze współczuciem i niespokojnym, tajemniczo przyciszonym głosem zapytał Walczak.

— Choroba!... — zaklął, zrywając się z miejsca sołtys.

Żeby też to kto inny był na miejscu tego juchy! Ale spojrzenie ołowiane Walczaka i pięści olbrzymie, podpierające twarz o bezczelnym wyrazie grubych rysów, musiały oddziałać uspokajająco.

— I co też wy wygadujeta, wstydzilibyśta się kumie! — po chwili milczenia zaczął sołtys. — Moja Franka nie taka, my ją w strachu bożym chowamy, a nie to, żeby jakieś głupości...

— Ja też i sam tak sobie miarkowałem, ino żeście tak jakoś...

— Adyć nie o tem, tyla co syn wasz precz do nas chodzi, a ciągiem się zaklina, że się z Franką ożeni, że z wami będzie zgoda, a tu dwa roki mineno, a jak nic nie było, tak nic nie ma. To myśwa na ten kuniec uradzili — niby z babą: może też i łżą ludzie na was... Ale co! Świętą prawdę powiedzieliście, co na kłapanie ludzkie nie ma co patrzeć. Tożeśwa i uradzili z babą: człowiek z was mądry i sprawiedliwy, to z wami trzeba się obces dokumentnie rozgadać: czy tak, czy tak?

Domawiając ostatnich wyrazów, Jaworski znowu usiadł na dawnem miejscu.

— Człowiek z was mądry i sprawiedliwy — powtórzył, widząc, że gospodarz nie zdradza najlżejszej chęci przerwania sobie palenia odpowiedzią — po co se ma chłopak drzeć portki o nasze ławy, kiedy to na nic?

— I sprawiedliwie powiadacie, kumie — zawołał Walczak, wyjmując fajkę z ust i spluwając energicznie w bok. — A toć, jeżeli on was przez żadnego upamiętania turbuje, po mordzie go! A już ta i ja sam... niech no tylko przyńdzie, tak go spiorę...

— A bójta się Boga, kumie! Starego chłopa i jeszcze takiego, co piętnaście pudów z ziemi podejma...

— E?! On się chwali, że piętnaście pudów?.. — nie bez pewnego niepokoju zapytał Walczak.

— Co się ma chwalić? Tylo Janek Nowakowszczak peda, co na własne oczy w Nowym Dworze widział...

— W Nowym Dworze? Kiedy? Jak?

— Do sklepu wstąpili, peda, gwoździ do łódki kupić, a u żyda, peda, wagi różne w kącie leżą, toż Antek związał do kupy trzy takie po pięć każda i, jak nic...

Tu sołtys pochylił się i wykonał ruch dźwigającego wielki ciężar.

— Wątroba! — zaklął z cicha Walczak, ale wnet, jakgdyby otrząsając się z zamyślenia, dodał, wstrząsając głową: — wszyćko to głupość, ja i sam choć zara z piętnastoma pudami bez podwórze pońdę, a Antka, dalibóg, tak dziś jeszcze...

— Ja go ta bronić nie będę, ino dajta mi na ten kuniec odpowiedź: tak czy nie?

— Co „tak czy nie"?

— Jakto co? A juścić to wiadome rzeczy: czy chceta czy nie chceta?

— A czegój znów mam chcieć abo nie chcieć?

— Jakto czego? Patrzajta no dobrzy ludzie — wołał płaczliwie sołtys, uderzając się po kolanach. — A dyć, żeby się Antek z Franką pobrali...

— Żeby się Antek z Franką pobrali? — cedząc wyrazy, powtórzył gospodarz. — Hm, a bez cóż by nie? Prawda, chłopak krzynę za młody...

— Za młody? Co? za młody? Jaki za młody? dwadzieścia pięć roków abo i więcej!

— Co lata! Ja i sam na chrzcinach jego byłem; tyla głupi jeszcze.

— Co ma być głupi? Orze, bronuje, żnie, kosi, jak nikt. Grunt wam kto z wiosny obsiał? A kieby las. Czegóż wy jeszcze chceta? Trza, to i ryb nabrać nauczny, a ot i tera po 75 kopiejek na dzień zarabia...

— Po wiele? — niedosłyszawszy niby, zapytał Walczak.

— Ano, sam mi po pięć powiadał.

— Hm...

— A w kościele na książce się pomodli — ciągnął dalej sołtys — chłopak, na ten przykład, jak się patrzy: i do tańca, i do różańca.

— Tak go wychwalata, panie sołtys, co na psa przy was wszystkie swaty. Umalowaliśta, że go i ojciec rodzony nie pozna: nikiej wasz syn, a moja córka.

— Co sprawiedliwe, to sprawiedliwe! Ja tam sprawiedliwość, jak matkę rodzoną kocham. Ja tam nie lubię na swoją stronę kuniecznie ciągnąć...

— Ano, kiedy się wam już tak on Antek udał, to będzie musi weselisko, o jedno się cheba rozejdzie: co wy dacie za swoją dziewczyną?

— To każdemu wiadome — odparł dumnie Jaworski — ino co wasz syn dostanie?

— Syn? Zabaczyliśta nijak, czy co, że jednego mam, jak, nieprzymierzając, nos pomiędzy ślepiami? Wszyćko.

— Wszyćko! wszyćko! — powtórzył z irytacją w głosie sołtys — ino kiedy?..

— Jakto kiedy? Zara na drugi dzień po mojej śmierci — odpowiedział Walczak, jakgdyby naprawdę nie pojmował, jak można było zadać podobne pytanie.

— Kumedyja z wami i tyla! — zawołał sołtys, znowu zrywając się z miejsca — kumedyja rzetelna!

— Jaka kumedyja? Któż tu kumedyje przedstawia? — dziwił się naiwnie gospodarz.

— Kumedyja i tyla — powtórzył raz jeszcze Jaworski. — Wy ze dwadzieścia roków pożyjeta — daj wam Boże i sto — a córka moja jak tymczasem będzie?

— A wyście jacy umyślili, żebym zaraz wszyćko oddał, a sam na żebry poszedł? — tonem człowieka, który nareszcie domyślił się, o co chodzi, zapytał Walczak.

— Bez cóż na żebry? Kto peda wszyćko? Dajcie ino synowi tyla, co ja córce.

— Gdzie mnie chudziakowi za wami się ciągnąć?

— Żarty sobie ze mnie, ot co, robita! Wszystkim a to wiadomo, że ja mam ino 18 morgów, a wy 24...

— Lepiej od umentryśta wyrachowali — tymże tonem sarkazmu odparł znów Walczak — ino ziemi nie ugryzie.

— Będziewa ją wszyscy gryźli, jak przyńdzie pora — rzekł sentencjonalnie Jaworski. — I kto wam o pieniądzach gada? Pieniądze dam ja, a wy grunt.

— Fiu-u-u! — gwizdnął gospodarz.

— Ot choćby ta działka za lasem rzędowym — ciągnął sołtys, nie dając się zbić z tropu i z mocnem postanowieniem dotarcia do jądra kwestji. — Tam rychtyg 6 morgów. Za pieniądze Franczyne postawią se chałupę...

— Ino ja za tę działkę nie 225 rs. dałem — przerwał Walczak.

— A gadzina? A porządki? — zawołał Jaworski, znowu siadając. — Rachujta ino: krowa, dwa świniaki...

Tu zatrzymał się na chwilę w niepewności, jednym, czy dwoma palcami oznaczyć tę pozycję.

— A kumoda polüturowana, a szafa takaż sama, a krzesła — wyliczał dalej, dając pokój palcom i wskazując lub chwytając się nazywanych przedmiotów — a kufer, a... a... E, czego tam nie będzie? Cały porządek, jak się patrzy: mego i na całe czterysta rubli wypadnie, a wyśta za on grunt, przepłaciwszy, 45 rs. dali.

— A sprôbujta mi ino tera dać 90 rs. czy sprzedam?

— I co wam ta działka? Jedna mordęga! Z pięć wiorst od reszty pola.

— Niech ta was, kumie, o mnie głowa nie boli!...

— Tak się zgadało.

— Bóg wam zapłać, kochany kumotrze, jakoście tak pieknie majątkiem moim rozrządzili, ino mi się widzi, co z tej mąki chleba nie będzie. Na łasce mi potem u dzieci być każeta.

— Jaka tam łaska? Toć zostanie wam jeszcze tyle gruntu, co ja mam dzisiaj, a dzisiaj, jak się patrzy, na łaskę niczyją się nieoglądający i o chlebie proszalnym nie myślący. I chałupę taką setną macie, i obejście całe...

— Znam, co swoje, nie gorzej od was, ino widzita, jużbym chciał, żeby mnie syn do śmierci szanował, jak przynależy...

— Alboż on was wtedy nie uszanuje? Jeszcze lepiej!..

— Wy wiecie swoje, a ja swoje.

— Taki chłopak!... I Boga się boi, i ludzi uszanować potrafi...

— Kiedy wam taki dobry, to bez cóż się wagujeta?

— Samą dobrocią żyć trudno: i żreć trzeba.

— Toć przez żarcia ich nie ostawię, i czy to miejsca mnie staremu dużo potrzeba? A chałupa, sami pedacie, nikiej dwór jaki.

— To na nic się zdało! — machnął ręką Jaworski.

— Bez cóż tak na nic?

— Lepiej wele tego gruntu...

— A może się wam jeszcze gwiazdki z nieba zachciewa? Jak mnie zakopieta — wszyćko, ale do owego czasu — nie głupim. A to i mnie weselej będzie synową mieć kole siebie...

— Ostatnież to wasze słowo będzie? — z ledwo powstrzymywaną wściekłością zapytał sołtys, wstając i szukając czapki.

— Juści ostatnie. A jakiegoż wam jeszcze trza?

— Ano, Bóg zapłać i za to, coście powiedzieli... Będę wiedział... — przerywanym głosem mówił gość. — A mówiący po sprawiedliwości i tak wiedziałem. Znamy się nie od wczorajszego dnia, chwalić Pana Boga... A ja córkę mam na gospodynię, nie na sługę!.. (Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. K. J. GORZYCKI

ZWIASTOWANIE BUDDHY.

Dzieje żywota księcia Sarvâthasiddh'y, tj. Buddhy, słynnego twórcy systemu społeczno-religijnego, „budhaistycznego" — zostały w ciągu wieków przyobleczone w takie mnóstwo dodatków legendowych, że dzisiaj nader trudną jest rzeczą wydobyć z pośród nich — krytyczną prawdę historyczną. Jestto zresztą rzeczą całkiem naturalną — i w tym względzie dzieli Buddha los innych reformatorów — z tą tylko różnicą, że legend o życiu Buddhy jest bardzo wiele. Jedne z nich zbliżają się więcej do prawdy dziejowej, inne natomiast prawie zupełnie z nią zrywają. Środkowe poniekąd w tym względzie stanowisko zajmuje legendarny żywot reformatora indyjskiego w drugim rozdziele budhaistycznej księgi kanonicznej „Lalita-Vistava" i dlatego, jakoteż z powodu niezwykłej poetyczności tej legendy — umieścił ją w dosłownem tłómaczeniu — znakomity badacz dziejów indyjskich prof. *Dr. S. Lefmann* w dziele swem: „Geschichte des alten Indiens".

Wiadomą dzisiaj ogólnie już rzeczą jest, że legendarne żywoty Buddhy wykazują cały szereg uderzających analogji z życiem Chrystusa. Nie wchodząc w krytyczny rozbiór tego faktu zaznaczam tylko, że w legendzie

budhaistycznej nie brak ani zwiastowania, ani wcielenia, ani też kuszenia przez złego ducha i t. p. — brak zaś natomiast śmierci męczeńskiej.

Mojem zadaniem jest — przedstawić na podstawie wspomnianej legendy z „Lalita-Vistava" — tylko wstęp niejako do legendarnego życiorysu Buddhy, który nazwałem „zwiastowaniem" ze względu na analogją z „zwiastowaniem" narodzenia Chrystusa.

Istotą nadziemską, mającą się „zwiastować" i wreszcie wcielić w ludzką zupełnie postać księcia-reformatora jest w legendzie „Bodhisattva", przebywający stale w niebie „Tushitów", tj. błogosławionych — w otoczeniu licznych zastępów drugorzędnych niebian. Ponieważ religja Buddhy nie uznaje zasadniczo żadnego bóstwa osobowego, tylko błogi stan wiecznej równowagi — „nirwanę", mającą cechy takiego wyrównania ogólnego, że staje się w istocie rzeczy — niebytem (nicością), więc legendarny „Bodhisattva" wraz z całem swem nadziemskim otoczeniem jest niekonsenkwencją w stosunku do zasad i najogólniejszych dogmatów wiary. Jakoż — nie ma on nawet znamion spekulatywno-teozoficznych budhyzmu, lecz przypomina owe liczne bóstwa ludowe indyjskie, kooptowane przez starobraminizm i niedające się nigdy usunąć skutecznie — przez buddhyzm.

„Bodhisattva" — mówi legenda — mieszkał szczęśliwie w uroczem niebie Tushitów czyli błogosławionych. Nieskończony przepych i cudowna wspaniałość zdobiły jego boski namiot czyli Vimânę, w którym przebywał, oglądany przez mirjardy niebian; aż nagle odezwał się głos wielki, wzywający go, ażeby wstąpił w łono swej matki na ostatni swój pobyt w postaci ziemskiej. I on udał się do pałacu Dharmaccaya (tj. „Pełni praw") razem z doskonałymi synami bogów i każdy z nich usiadł na własnym, należącym mu się tronie.

W zgromadzeniu tem, z którego wykluczono apsary (nimfy) i niższych synów bogów, usłyszano głos zwiastujący „Po dwunastu latach wcieli się Bodhisattva w łono swej matki" *). Było to zwiastowanie wcielenia Bodhisattvy w niebie i dla niebian, mające — jak widzimy cechy politeistyczne i wyróżniające dlatego o wiele „zwiastowanie" Buddhy od zwiastowania — Chrystusa.

Politeistyczne zabarwienie nosi także dalsza część legendarnego zwiastowania Buddhy — na ziemi i dla ziemian:

„Następnie udali się synowie bogów w przebraniu do Jambudvipa (Indji). Ten, czyim udziałem stanie się — uczyli oni — tego rodzaju wcielenie się w łono swej matki, ów przyjdzie na świat z 32 znamionami wielkiego człowieka i tylko dwie drogi w życiu będzie miał przed sobą. Albo pozostanie w domu swoim i stanie się królem Cakravartin'em, kierownikiem koła władzy (panowania), posiadaczem siedmiu klejnotów (koła, słonia, rumaka, kobiety, drogiego kamienia, zarządcy domu i wodza), albo naodwrót opuści swój dom dla życia pustelniczego, odrzuci żądzę i namiętność i stanie się przewódcą, najwyższym panem, nauczycielem bogów i ludzi". Te słowa legendy nie są już nalecialością politeistyczną, ale w nich wyrażona jest myśl, przenikająca całe życie Buddhy i cały jego system religijny, tj., że doskonała istota ludzka („Buddha") może być albo, jak się inna legenda wyraża „najznakomitszym królem" albo też „najdoskonalszym żebrakiem" (człowiekiem — wogóle). Fakt, że Buddha stał się „najdoskonalszym żebrakiem" nie przedstawia się jako zaprzeczenie tej myśli, ale jest wynikiem całego jego społeczno-religijnego stanowiska, przeciwnego kaście rządzącej braminów.

Zwiastowanie wcielenia Buddhy jest tedy w legendzie najpierw zwiastowaniem w niebie i dla niebian, co uważać należy za nalecialość kultu ludowego — politeistycznego, a potem, zwiastowaniem na ziemi i dla ludzi, w czem zapowiedziane już jest całe jego późniejsze znaczenie, jako twórcy systemu religijnego; ostatecznie legenda wchodzi w szczegóły — odnoszące się do miejsca i rodu mającego się wcielić Bodhisattvy.

„Równocześnie ze zwiastowaniem wyszedł nakaz do Praktyekabuddh'ów, którzy przebywali w Rajagoiha i w okolicy Vâvanasi, ażeby oczyścili terytorjum Buddhy, poczem kolejno zniknęli niebiańscy zwiastuni z ziemi". Na tym wstępie kończy się zwiastowanie wcielenia Buddhy w legendzie z „Lalita Vistava", ale nie jest ono jeszcze zupełnem: uzupełnia je mianowicie przygotowanie do wcielenia się ze strony samego Bodhisattvy.

„Bodhisattva zwrócił teraz swą uwagę na czas swego wcielenia się, kraj, okolicę i ród. Przy każdym z tych czterech momentów swego zastanowiania się — widział przyczyny, z których wynikała niemożliwość czynienia inaczej, jak czynił (prawo przyczynowości). Pod każdym względem miał możność tylko jednej decyzji. Wskutek tego mógł synom bógów, którzy długo i bezskutecznie szukali za rodem, wolnym od wszelkiej zmazy — dać odpowiedź na ich ostatecznie do niego samego zwrócone pytanie. Objawił im 64 znamion tego rodu i kobiety, „w której łono zejdzie Bodhisattva do swego ostatniego istnienia" i — rozmyślając nad tymi znamionami — poznali, do jakiego rodu one się odnoszą. Był to mianowicie ród Çakya'ów, „wzrastający i rozwijający się", „pełen życia i zasobny w lud (poddanych) i ludzi (członków rodu)". Należał do niego król Çuddhodana, bez skazy po ojcu i po matce, wogóle bez grzechu, przy tem nie za stary — ani nie za młody; jednem słowem szlachetny, wyposażony bogato w zalety ciała i duszy. Małżonką jego była Mâyâ, córka księcia z rodu Çakya'ów — Suprabuddhy, urocza kobieta, uosobienie młodości i piękności. Nigdy jeszcze nie miała dzieci — ani syna, ani córki, ale żyła tak, jakby niebianka, ozdobiona wszelką krasą i przy tem — wolna od błędów swej płci". Pieśń budhaistyczna na cześć matki Buddhy wysławia ją w następujących słowach:

„Nie istnieje na świecie *dziewica*, ani wśród ludzi, ani pośród gandharwów i bogów, któraby można było porównać z Mâyâ-Devi i, któraby była tak samo przysposobioną (wyposażoną), ażeby stać się matką Bodhisattvy".

Na wynalezieniu rodu, który z koniecznych i zawsze działających z nieubłaganą siłą przeznaczenia przyczyn — musiał stać się rodem wcielonego Bodhisattvy, tudzież na oznaczeniu matki przyszłego Buddhy — kończą się w legendzie o życiu księcia Sarvâthasiddhy wszystkie kroki przedwstępne, poprzedzające wcielenie, które też w zapowiedzianym z góry czasie — spełniło się wśród cudownych, nadprzyrodzonych objawów.

*) Por. greckie „moira".

HELIOGABAL.

Zanurzony w pieczarę z bisioru i złota
Błyszczy nagi jak bóstwo na ołtarzu śpiące;
Dwa kręgi żyrandoli jak węże świecące
Ujęły stopy bóstwa. Zakutych rycerzy
Po obu stronach tronu niemo stoi rota,
Tysiąc płomyków błyszczy na piersiach puklerzy.

Pawich piór pęki strzegą mu od blasku oczy,
Kobierzec z włosów kobiet białe pieści nogi,
Na szyi mu faluje amulet złowrogi:
Żmija... Porusza głową bo ją światło mroczy
I językiem liljowym po piersiach łaskocze
Bóstwo, białe jak kamień i jak sen urocze.

Pękła kopuła złota przepychu świątyni
I róż morze wylało się przez rozpadlinę.
Posadzka się w Edenu zmieniła równinę,
Lato kwiatów powodzią winne hołdy czyni
I kładzie się pod stopy władcy-boga-króla,
I ciepłą wonną falą stopy mu otula.

Leży na białym tronie z kości mastadontów.
Gdyby skinął — dwa światy padłyby na siebie
Jako bracia w uścisku, lub jak w boju wrogi...
Lecz on w cichej ekstazie podziwia swe nogi
I zatapia się myślą jak hurysa w niebie...
Śni rzewnie, że gdy skinie, z wszystkich sali kątów

Wypadną ostre groty ku piersi winnego.
Czuje się panem, sędzią dobrego i złego...
Cześć nakaże i w przepaść w jednej chwili zrzuci,
Gdy tylko kiwnie ręką, głowę lekko zwróci...
Więc uśmiecha się słodko jak łaska, jak słońce
Czyste, z jasnego nieba darami siejące.

Zmrużył lekko powieki, a gwiazdy pogasły
I żyrandole zgasły i blask na puklerzu —
Jak w okowach zakute w przedwiecznem przymierzu,
I podwoje kopuły się lekko zatrzasły...
Pomdleli w stal zakuci przy ołtarzu stróże,
Żmija głowę zwiesiła, i powiędły róże.

Baal-Helios, Heliogabal którego imienia
Echo skalne się dźwignąć na barkach nie waży,
U steru świata stoi jak pilot na straży
I bieg gwiazd na niebiosach błyskiem oczu zmienia—
Baal-Helios, Heliogabal, widmo Przeznaczenia,
Bóg jasny, co jak słońce na tronie się jarzy...

Fr. Mirandolla.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Falck-Olsen jednak zaczął w suchym tonie handlowym mówić o kiepskich czasach, o stratach na wszystkie strony, o niewypłatach itd.

— Tak, tak — przerwał mu minister, chodząc po pokoju i opierając ręce jedna na drugiej w ten sposób, że końce palców stykały się z sobą — przemysł krajowy i handel znajdują się w stanie upadku; tego zaprzeczyć nie można, spodziewamy się jednak...

— Ech, nie będzie lepiej i to przez dłuższy czas! Nie wiem, co tu w kraju stoi temu na przeszkodzie. Przez chwilę zdaje się, idzie świetnie; ale potem nagle utknie, wszystko pada i już się nie chce posuwać naprzód. Wszystko jakoś idzie nabakier, do czego się tylko weźmiemy. Patrz pan tylko na ten bank, który założono wśród strumieni szampana; rok zeszły wjechał w niego jak sam djabeł...

Przy tych słowach z piersi ministra wyrwało się westchnienie ulgi. Obawiał się, że Falck-Olsen przyszedł, aby go zabawiać rozmową o „trudności wydostania gotówki“ lub też o podobnych nieprzyjemnych rzeczach, gdyż zawsze z takiemi tylko przychodził, gdy był w złym humorze. Bank jednak był niewinnym tematem rozmowy i dlatego też minister odparł żartobliwie:

— Muszę zaprawdę jako członek rady nadzorczej zaprotestować przeciwko pańskiej napaści; przeciwnie, według wykazu w sprawozdaniu rocznem...

— Kpię sobie z rocznego sprawozdania! — odparł Falck-Olsen gniewnie — trzeba przecież robić przyzwoite sprawozdania roczne; to dziś potrafi lada kiep. Ale czego brakuje, to znajomości interesu w dyrekcji. Co może nastąpić przy tych wszystkich prawnikach, którzy w swojem życiu nie zawarli jeszcze ani jednego interesu? Wszyscy ci ministrowie, adwokaci, asesorowie — nic nie rozumieją; żeby nie wiem co robili, to jednak na rzeczy nie znają się wcale!..

Teraz dopiero zrozumiał minister, o co „rzecz“ chodzi. Oparł lekko rękę na ręce i rzekł:

— W tem masz pan po większej części słuszność, kochany przyjacielu, po większej części — ale... — urwał i pociągnął przyjaciela za lewą klapę od surduta, dodając: — to rzecz szczególna, naprawdę szczególna, i pożałowania godna że taki człowiek jak pan nie jest wcale ambitnym.

— Jakto? — zapytał Falck-Olsen i spojrzał niepewnie.

— Czyż nigdy panu na myśl nie przyjdzie, że z wpływu, jaki pan posiadasz, albo też posiadać powinieneś, korzystasz za mało? Spojrz pan naprzykład na bank, o którym mówiłeś przed chwilą. Skoro ten stary radca stanu Falbe wystąpi z dyrekcji, co prawdopodobnie stanie się na najbliższem walnem zgromadzeniu, to stanowisko dyrektora byłoby właśnie czemś dla pana odpowiedniem.

— Ależ to właśnie jest czego chcę! — zawołał Falck-Olsen.

— Niemożliwe, niestety! Wcale niemożliwe, kochany przyjacielu! — odparł minister, który znowu zaczął chodzić po pokoju.

— Tak, tak, a wolno zapytać dlaczego?

— Ponieważ prawdopodobnie o stanowisko dyrektora starać sie będzie konsul Lind.

— On je chce? Chce! Czy kto słyszał coś podobnego? — zawołał Falck-Olsen i zaśmiał się z przymusem — chciałbym wiedzieć, dlaczego wszystko ma być dla tego pana na usługi? Nie jest przecież o wiele bogatszym odemnie!

— Nie, zapewne nie! Ale za to jest pewniejszy.

— Co pan minister przez to rozumie? Czyż ja nie jestem człowiekiem pewnym?

— Spokojnie, tylko spokojnie, kochany przyjacielu — rzekł minister z uśmiechem i wcisnął go prawie gwałtem w krzesło. — Proszę tylko o pozwolenie mi wytłomaczenia mego zdania na jednym małym przykładzie. Jak pan sobie przypominasz, wydawałeś pan przed kilku miesiącami bal, wspaniały festyn mogę powiedzieć; nie brakowało nic, wszystko było eleganckie, poprawne, z godnością, słowem *comme il faut.* A jednak! Pozwól pan, że przypomnę panu tylko jedną jedyną scenę...

Teraz minister znajdował się w swoim żywiole. Małe rozprawki w cztery oczy, przy drzwiach zamkniętych, były jego najulubieńszą sytuacją. Mowa jego nabierała jakiegoś konfidencjonalnie poufnego tonu, tak jak gdyby w każdej chwili temu, z którym rozmawiał, otwierał swoje serce i opowiadał to, z czem się przed nikim nie zwierzał, a nawet najchętniej byłby przemilczał — wszystko to jednak czynił w taki sposób, że ludzie wychodzili od niego w tem przekonaniu, iż posiadają zupełne i niepodzielne zaufanie ministra Bennechena, a w ręku trzymają wszystkie tajemnice stanu. A jednak, jako najistotniejszy jego dyplomatyczny przymiot podnoszono właśnie to, że przy całej swej giętkości umiał być niepokonanie dyskretnym.

Przysunął się z swem krzesłem tuż do Falck-Olsena, zwrócił do niego swą przystojną, otwartą twarz i ciągnął dalej:

— Może to się wydawać dziwnem, że gość krytykuje gospodarza; ale znamy się przecież wzajemnie, a ponieważ właśnie przyszliśmy na to, przeto niech mi będzie wolno wyrazić pewne zdziwienie co do pańskich zaproszeń.

— No, no? Tego to już nie rozumiem!

— Widzisz pan, mój kochany przyjacielu, scena, którą chcę panu przypomnieć, miała miejsce podczas kolacji — która, mówiąc nawiasem, była wspaniałą — w pańskim gabinecie. Jak pan sobie bez kwestji przypominasz dyskutowano o polityce...

— Tak, ale wiesz, pan, panie ministrze, to przecież dzisiaj wszędzie się dzieje. Wymień mi pan chociaż jedno towarzystwo, w którym nie rozmawianoby o polityce!

— Widzisz pan, w tem właśnie sęk — zawołał minister. — O pilityce m ó w i się wszędzie, w tem masz pan słuszność, zupełną słuszność. Ale przyjrzyj się pan tej okoliczności — każdemu słowu ministra towarzyszyło lekkie klapnięcie dłoni na kolano Falck-Olsena — jeżeli się d y s k u t u j e o polityce, to jest to dowodem, że towarzystwo jest źle dobranem; w tem spoczywa cała różnica.

— Ależ tam byli tylko ludzie, posiadający pewne znaczenie. Przez cały dzień zapraszałem wybitnych mężów, których przedtem nie miałem przyjemności widzieć u siebie.

— Zupełnie słusznie — ale to było właśnie nieszczęściem. Byli tam ludzie najrozmaitszych barw — minister stłumił głos — aż do czerwonych włącznie; mówiono zatem o bardzo wielu niewygodnych rzeczach, bardzo niewygodnych, muszę powiedzieć. Nie dla mnie, zrozumże mnie pan dobrze, ja się o to zupełnie nie troszczę... Były to też tylko ogólne frazesy i po większej części ludzie młodzi, którzy je wygłaszali. Ale ze względu na pana samego, kochany przyjacielu, znajduję, że...

— Ba! — przerwał mu Falck-Olsen i powstał — djabli mi tam do tego; jestem niezawisły, *self made man*; nie proszę się nikogo o nic.

— Tak, widzisz pan, o tem właśnie mówię; nie jesteś pan wcale ambitnym, a to uważam za rzecz ubolewania godną, bardzo ubolewania godną...

Minister chodził znowu po pokoju powtarzając ciągle:

— Rzecz ubolewania godna!

— No, no! Ambitny! — rzekł Falck-Olsen w końcu zirytowany. — Z pewnością jestem ambitny, tak dalece, że pragnę zyskać ten wpływ, jaki mi się należy. Ale z polityką nie chcę mieć nic do czynienia, to panu powiedziałem już ze sto razy; nie staję po stronie żadnej partji; stoję między niemi, a raczej: stoję nad niemi!..

Był dumny z piękności tego zakończenia; minister jednak zwrócił się do niego wzruszając ramionami:

— Wyrażenie, którego pan w tej chwili użyłeś, może być, w właściwem miejscu użyte, bardzo dobrem wyrażeniem... przyznaję, w pewnych wypadkach może być użyte nawet z wielkiem wrażeniem. Ale, kochany przyjacielu, wytłomaczmy to sobie, tutaj, w cztery oczy, że jestto frazes, albo też mówiąc po prostu: nonsens pierwszej wody. Nie, to stare przysłowie jest już daleko lepsze: powiedz mi, z kim przestajesz, a powiem ci, kim jesteś!

— Tak, ale któż to taki, którego nie powinienem był zapraszać? — zapytał Falck-Olsen już trochę łagodniej.

— Ach, drogi przyjacielu, jakże pan możesz sądzić, abym się chciał wdawać w szczegóły? Mówiłem tak tylko w ogólności, że towarzystwo nie było zbyt dobrze dobrane. Kilku, bez straty mogło było pozostać u siebie w domu, a z drugiej strony nie zauważyłem tego i owego, którego chciałbym tam był widzieć chętnie. Pozwól mi pan wymienić wśród tych ostatnich redaktora Mortensena; jestto człowiek, który bez wątpienia...

— Ten, z tą fabryką zapałek! Nie, słuchaj pan, ten?.. ten?..

— Muszę panu powiedzieć w zaufaniu — szepnął minister, że ten człowiek ma przed sobą przyszłość, bez względu na to, jaką była jego przeszłość. Czy zwróciłeś pan kiedy uwagę na jego gazetę? Panu mogę przecież powiedzieć: pismo to zyska znaczenie, prawdziwie wielkie znaczenie!..

W tej chwili wszedł Mo ze stosem papierów.

Falck-Olsen nie był wcale zadowolony z przebiegu audjencji. Zamiast przyłożyć ministrowi nóż do gardła, zapuścił się nagle w dyskusję, w której, jak zwykle, uległ.

Nie chciał jednak odejść, zanim nie wygra ostatniego atuta i dlatego rzekł półgłosem:

— Pragnę panu tylko powiedzieć, że na pański głos liczę z całą pewnością.

Ministrowi zrobiło się przy tem jakoś głupio. Falck-Olsen spojrzał na niego wielkiemi oczyma, jakie robił zwykle gdy mówił „o wielkich zaliczkach w gotówce" i o podobnych nieprzyjemnych rzeczach. Podał mu jednak przyjaźnie rękę, żegnając się z nim we drzwiach i rzekł.

— Już dobrze kochany przyjacielu! Przyjdzie czas, znajdzie się rada! Zresztą sądzę, iż z czasem pogodzimy się we wszystkiem.

Falck-Olsen mruknął coś, czego nie można było zrozumieć, a minister zamknął za nim drzwi, przyczem czuł, że na przyszły raz sprawa nie pójdzie tak gładko.

Następnie zwrócił się do Andersa, odebrał od niego papiery i położył je obojętnie na stole.

— Masz pan rachunki?

Mo wyciągnął siedm czy ośm rachunków.

— To za wiele, o wiele za wiele; daleko po za umowę! — zawołał minister gniewnie. — Musisz pan powiedzieć pani Gluncke, że nie było to tak myślanem, aby zaspakajała wszelkie swoje kaprysy. Tak nie idzie!

— Tak, panie ministrze — rzekł Mo tonem żałośnym, - i ja powiadam to samo, ale Malla Bimbam twierdzi...

— Kto? — zapytał minister surowo.

— Przepraszam, pani Gluncke twierdzi, że wszystkie takie jak ona, mają dziś to samo...

— Hm... — przerwał mu minister i otworzył małą szufladkę w stoliku.

Podczas gdy minister odliczał pieniądze, odezwał się Mo:

— Czy pan minister wie, z kim przestaje szef biura pan Delphin?

— No?

— Ze starym Hansenem.

— Z tym starym tam w biurze?

— Tak, onegdaj siedział szef biura przez cały wieczór u Hansena, a gdy odchodził wetknął w rękę jego żonie czterdzieści koron. Wiem to napewno... — dodał woźny.

— Niepewni ludzie, gdzie tylko się zwrócić — mruczał minister, kładąc banknoty przed Andersem. — Aha! ponieważ właśnie o tem myślę! Masz pan u siebie w domu córkę swojej siostry, Mo?

— Mojego brata, panie ministrze.

— Dobrze. Życzę sobie, abyś ją pan odesłał do domu. A teraz zaczekaj pan, dopóki nie zadzwonię.

Minister usiadł wygodnie, Mo jednak nie odchodził.

— Cóż tam jeszcze, Mo?

— Bardzo niechętnie rozstałbym się z moją siostrzenicą — zaczął Mo z uszanowaniem.

— Pieniądze na podróż musi naturalnie dostać — rzekł minister i chwycił za pęk kluczyków wiszących jeszcze przy szufladce.

— Pragnę ją zatrzymać przy sobie — odparł Mo sucho.

— Dlaczego?

— Ponieważ... ponieważ tego pragnę... — odparł Mo z miną pełną szacunku.

— Nie traćmy czasu, Mo! Moja żona powiada, że ta twoja siostrzenica zawraca moim synom głowy: przyrzekłem, więc odjechać musi.

— Pan minister niech mi wybaczy, ale muszę otrzymać pozwolenie zatrzymania jej przy sobie... — odparł Mo i zniknął w swym małym przedpokoju.

Minister siedział przez chwilę zamyślony, zdarzało się coprawda nieraz, że Mo robił trudności: ale skoro się raz sięgnęło do małej szufladki, wszystko szło gładko. Najgorszem było teraz to, że prawdopodobnie będzie scena z ministrową.

Młody zalękniony sekretarz ekspedycyjny musiał za to odpokutować; nawet szef biura Delphin nie wyszedł cało, a wieść o złym humorze ministra rozbiegła się po wszystkich biurach. Toż to były szepty, bieganina, konferowanie przy każdem biurku!.. Wstrząsające proroctwa o dymisjach i degradacjach szły od kałamarza do kałamarza, a każdy w cichości ducha przechodził rejestr swych grzechów.

Tylko Anders wszechpotężny prześlizgiwał się uśmiechnięty w swych filcowych pantoflach, a wszyscy wznosili oczy od „roboty" gdy przechodził tajemniczy i napięty, z białymi włosami na kołnierzu.

Minister nie przeliczył się. Skoro go tylko żona zobaczyła, zapytała natychmiast:

— No i cóż, skończyłeś?

Minister kręcił się trochę, zanim odpowiedział. Wśród wszystkich ludzi, z którymi się stykał, była jego żona jedyną, której nie umiał traktować w tonie dyplomatycznym. Dlatego też odparł:

— Nie, mówiąc otwarcie, jeszcze nie załatwiłem, ale...

— Cóż stoi na przeszkodzie?

— Mo nie chce; tylko niechętnie by się jej pozbył.

— Mo, zawsze ten Mo! — wybuchła pani Bennechen gniewnie — jeżeli Mo nie chce, to stoisz i patrzysz na niego jak wół na aptekę. Aż kusi człowieka sądzić, że jesteś w jakikolwiek sposób od niego zależny i nie możesz się odważyć na zerwanie z nim.

— Hahaha! Ten biedny Mo! — zaśmiał się minister, ale ten śmiech nie dźwięczał szczerze; zaczął pilnie wyglądać oknem, odpowiadając: — Możesz przecie być pewną, że skoro ci w istocie tak bardzo na tem zależy, aby się pozbyć tej dziewczyny, to nic nie stoi temu na przeszkodzie; mogę poprostu rozkazać Andersowi...

— Tak, czyż nie wydaje ei się, że to już czas skorzystać z twej potęgi, jeżeli jeszcze jaką posiadasz? Nie wiesz, jakie głupstwa wyprawia Jan. Alfred opowiada setki historyjek...

— Daruj, ale o ile mogłem zauważyć, Alfred tak samo często składa wizyty w mieszkaniu portjera, jak Jan.

— Tak, tak, ale cóż to znaczy? Alfred jest rozsądny, zna świat; jeżeli ten się kręci koło jakiejś prostej dziewczyny, to wszyscy wiemy, co to ma znaczyć. Ale Jan, widzisz! Nie mogłeś nigdy pojąć, jak niebezpieczna jest natura Jana, jak on jest niewypowiedzianie głupi — mówiąc między nami. Gdy ten sobie coś raz do głowy wbije, to jest w stanie popełnić najniesmaczniejszą rzecz; nie dziwiłoby mnie nawet wcale, gdyby pewnego pięknego dnia przyszedł do nas i powiedział, że się chce z taką dziewczyną ożenić...

— Ależ, najdroższa Adelajdo, jak możesz myśleć o czemś podobnem! To naturalnie w żaden sposób stać się nie powinno, naturalnie, w żaden sposób...

— No, no! Widziałam już tyle podobnych rzeczy — odparła pani Bennechen. — Dopóty się mówi, rzecz niemożliwa, dopóki nie stanie się nieszczęście, a potem siedzi się w skandalu po same uszy. Nie, w takich warunkach należy wystąpić zawczasu, takiem jest moje zdanie; precz stąd musi pójść ta wstrętna, czerwono-włosa dziewka! Pomyśl tylko, Danielu, co za pomylony gust!

— Tak, ale wiesz także, że i Alfred...

— Znowu wyjeżdżasz z Alfredem! Nie ceniłeś go nigdy. Alfred posiada w sobie coś z artysty, jak wielu członków naszej rodziny. Czerwone włosy i biała cera, czy coś podobnego, przemawia mu do duszy. A zresztą... nie sądzę, abyś i ty w tych latach był tak bardzo drażliwym na tym punkcie, stary!

Ten argument był działem największego kalibru pani ministrowej, który z niezawodną pewnością rozstrzygał los walki. Prócz tego właśnie proszono do stołu.

— Gdzie jest Alfred? — zapytał minister, zobaczywszy, że tylko gospodyni znajduje się w pokoju stołowym.

— Biedaczek! Nie może dzisiaj przyjść na obiad — odparła pani Bennechen — był tutaj przedpołudniem i powiedział, że wprost z biura pójdzie do Eriksenów; wiesz, jego przyjaciel, kandydat Eriksen, jest tak ciężko chory.

Minister w cichości ducha zrobił uwagę, że choroba Eriksena przeciąga się coś za długo.

— A Hilda? Gdzie jest panienka? — zwróciła się pani domu do gospodyni.

— Panienka zaraz przyjdzie — odparła gospodyni — prosiła, aby służąca jej powiedziała, kiedy będzie podane do stołu. Jest na dole w mieszkaniu portjera.

— Słyszysz, Danielu? — szepnęła ministrowa. — Ta sprytna dziewczyna stara się wkraść w zaufanie naszej córki.

Hilda przyszedłszy, chciała opowiadać o swej nowej przyjaciółce Krystynie; matka jednak przerwała jej krótko, a ponieważ nie znalazła poparcia także i u ojca, przeto zamilkła.

Wszyscy jedli obiad w milczeniu, obiad powszedni, nieprzyjemny i zgryźliwy... (Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Interesujący odczyt wygłosił 18 bm. w kole literackiem p. M. Rolle (syn znanego zaszczytnie historyka śp. dra Antoniego J.) na temat: „Bohater Mickiewiczowskiej tragedji". Jest nim mianowicie generał inżynierji litewskiej Jakób Jasiński, który zginął na szańcach Pragi w r. 1794, jako jej dzielny obrońca. Piękna postać generała-poety (bo w wolnych od zawodowych zajęć chwilach zamieniał chętnie oręż na pióro), natchnęła Mickiewicza do napisania utworu, którego bohaterem był właśnie Jasiński. Poemat ten, napisany w języku francuskim, zachował się do dziś tylko w jednym, drobnym fragmencie — reszta zaginęła.

Interwiew Marjanem z Gawalewiczem ogłosił w „Gońcu łódzkim" p. H. Łubieński. Sympatyczny autor „Machesów" udaje się w kwietniu na Wschód, skąd zamierza przywieźć powieść na tle obyczajów wschodnich. Nadto kończy p. G. powieść pt. „Warszawa" i pisze monografję o T. Zanie. W rozmowie zauważył p. G. że współczesne prądy w beletrystyce europejskiej znamionuje zwrot ku romantyzmowi, podnoszącemu ducha ponad niskie poziomy i oblekającemu w szlachetniejsze szaty dążenia i aspiracje ludzkości.

„Česka Revue" przynosi w ostatnim zeszycie studjum p. A. Czernego o Arturze Grottgerze wraz z portretem twórcy Lituanji ku uczczeniu 30. roczniczy jego zgonu.

Konkurs tyg. krak.: „Życie" na nowelę został rozstrzygnięty przez czytającą publiczność w ten sposób, że nowela „Pan" uzyskała najwięcej, bo 262 głosów. Autorem jej jest znakomity poeta Kazimierz Tetmajer.

Juljana Fałata cykl akwarel i szkiców, wystawionych w Berlinie w salonie Schultzego budzi powszechne zajęcie. Krytycy miejscowi podnoszą wysoko oryginalną twórczość „poety przyrody zimowej".

Włodzimierz Nałęcz urządził w Paryżu wystawę krajobrazów, wśród których ogólną uwagę zwrócił na siebie olbrzymi obraz „Lofoden", uplastyczniający z siłą i dużym nastrojem grozę ponurej przyrody północy.

Paryski teatr de la Porte St. Martin przygotowuje wystawienie nowego dramatu J. Lemaitre'a pt. „L' Aventurier". Jest to utwór fantastyczny.

W teatrze meiningeńskim (nadwornym) odbyło się 15. bm. uroczyste przedstawienie ku uczczeniu srebrnego wesela księcia panującego. Dawano szekspirowskiego „Kupca weneckiego" z udziałem — obok dzisiejszych — bardzo wielu dawniejszych członków znakomitej trupy, których liczbę śmierć w ostatnich czasach znacznie przerzedziła.

Z okazji 50-letniego jubileuszu rządów cesarza Franciszka Józefa I. odbędzie się z końcem maja br. w Wiedniu międzynarodowy koncert konkursowy, w którym wezmą udział najwybitniejsze kapele europejskich państw.

Najnowszą operę Mascagniego pt. „Iris" wystawić mają wkrótce w Rzymie.

Leoncavallo pracuje obecnie nad nową operą pt. „Mario Weber", do której libretto zaczerpnął z „Dalili" O. Feuilleta.

Najnowsza opera Zdenka Fibicha pt. „Sorka", wystawiona w Narodnem Divadle w Pradze, doznała tam wielkiego powodzenia.

W Warszawie, na scenie teatru „Wielkiego" gościć mają w czerwcu: pani Arkłowa i p. Florjański.

Ogłoszono w Warszawie konkurs architektoniczny na przebudowę teatru „Rozmaitości".

Treść: Józefat Nowiński — *Walczaki.* (Nowela); Dr. K. J. Gorzycki — *Zwiastowanie Buddhy;* Fr. Mirandolla — *Heliogabal* (Wiersz); Aleksander Kielland — *Pod sztandarem pracy* (Powieść — c. d.); *Wiadomości artystyczne i literackie.*